SPORTOWIEC

• 3 WRZEŚNIA 1952 • NR 35 • CENA 1 ZŁ •



Zwycięzca Wyścigu Dookoła Polski — Wójcik (CWKS).
Fot. Rostkowski

Wielki sukces Polek w Moskwie

Siatkarki wicemistrzyniami świata

WÓJCIK! WÓJCIK! WÓJCIK!

(Od naszego specjalnego wysłannika)

Kiedy na pierwszym etapie Wyścigu Dookoła Polski najlepszy nasz kolarz szosowy, Wójcik, zajął na mecie 18 miejsce, setki tysięcy ludzi obserwujących losy tej wielkiej próby zadawały pytanie: Czyżby to zmierzch Wójcika?

Zainteresowani jego niepowodzeniem, poczęliśmy szukać przyczyny. Jak okazało się, Wójcik wystartował z Warszawy po kilku bezsennych nocach, które spędził na przygotowaniu roweru do wyścigu. Szukał po nocach jakichś specjalnych części aż w Bydgoszczy...?

— Pierwszy etap dosłownie przespałem na rowerze — oświadczył po przybyciu na metę w Olsztynie.

Na listę 10 najlepszych wyścigu dostał się Wójcik po etapie czwartym. Dzień odpoczynku w Poznaniu, a potem wspaniała ucieczka i samotna wyczerpująca jazda ponad 70 km. Na tej właśnie trasie, tam na szosach Szwajcarii Kaszubskiej, potwierdził Wójcik swój prymat w szosowym kolarstwie polskim.

Dwie walki pasjonowały wówczas widzów — walka Wrzesińskiego z młodziutkim Drażkowskim, odbierającym raz po raz staremu kolarzowi żółtą koszulkę leadera i walka Wójcika z czasem.

Po sześciu etapach, jadąc już zawsze w czołówce, wydźwignął się Wójcik w klasyfikacji na piąte miejsce. Przed nim tylko dwaj wspomniani rywale, oraz młody gwardzista Liszkiewicz i stary szosowy wyga Kapiak.

Lada dzień, lada etap, wywiązać się mogła między tą czwórką kolarzy fascynująca walka. Niewiele stawialiśmy wówczas na Kapiaka, więcej na Radasika i Klabińskiego oraz na młodego kolarza z Górnika — Chwiendacza. Takie to przewidywania speców słyszało się na noclegu w Jeleniej Górze. Tam też, nie na szosie, miał swój początek dramat trzykrotnego leadera tego wyścigu — 18-letniego kolarza CWKS, Drążkowskiego. Rozgrzany gorącym prysznicem, zasnął dla ochłody przy otwartym oknie. Nazajutrz z silnym bólem krzyża zgłosił się do lekarza. Nie pomógł zastrzyk penicyliny — Drążkowski już na jednym z pierwszych kilometrów 7 etapu zrezygnował z dalszej jazdy.

Etap ósmy — to Sedan czołówki wyścigu. Liszkiewicz jeszcze przed startem w Opolu narzekał na ból w pachwinie. Zastrzyk, który miał rozpędzić czyrak, nie pomógł. Tuż za startem ostrym, jeszcze na przedmieściach Opola, od licznej czołowej grupy kolarzy oderwał się pojedynczy kolarz i metr za metrem począł zostawać w tyle. Już z dala rozpoznaliśmy, że jedzie jakoś nienormalnie, że chwieje się na rowerze z jednej strony na drugą... Liszkiewicz jechał teraz przed nami w odległości 10—15 m, nie siedział na siodełku, lecz, stojąc, obracał pedały. Widać było, że każdy ruch sprawia mu ból nie do zniesienia. Znając przyczynę, dziwiliśmy się, że ma jeszcze odwagę jechać dalej. Na co liczy ten chłopiec? Jeśli ukończy etap w Krakowie, czeka go dzień odpoczynku. Czy rzeczywiście spodziewa się, że dzień ten przyniesie mu może poprawę?



Na trasie ostatniego etapu Wójcik inicjuje ucieczkę. Oderwał się od grupy tak szybko, że nawet pilot nie zauważył, gdy przodownik Wyścigu był już przed nim... *Fot. Rostkowski*

Trwało to długo, zbyt długo. Miało się chęć krzyknąć z prasowego wozu: — Liszkiewicz, daj spokój! Nie męcz się! Nie dasz i tak rady. Skorzystaj lepiej z wozu sanitarnego...

Jeszcze kilometr, drugi... i doszedł widocznie do tego samego wniosku. Zsiadł z roweru i z rozpaczą, ze łzami w oczach, usiadł w przydrożnym rowie.

Sto kilometrów dalej podobną tragedię przeżył w naszych oczach dotychczasowy leader wyścigu, Wacław Wrzesiński. Jechał wówczas w czołówce kilkunastu kolarzy. Miał wszelkie szanse, by raz jeszcze zatriumfować na mecie w Krakowie. Przed chwilą oddał któremuś z kolarzy prowadzenie. Jechał teraz na końcu wachlarza, tuż za gwardzistą Sałygą. Wzdłuż ulicy biegły tramwajowe szyny. Sałyga, wciśnięty między szyny, chciał jednym susem wydostać się poza nie. Obejrzał się za siebie, dojrzał Wrzesińskiego, lecz sądząc, że jest on wystarczająco daleko, skręcił raptownie w prawo.

Stało się to tak szybko, że pamięć nie zanotowała obrazu. Z pędzącego samochodu ujrzeliśmy tylko wykrzywioną z bólu twarz Wrzesińskiego, opartego łokciami o krawężnik chodnika...

Trzeba było widzieć ich miny na stadionie w Krakowie. Nie wiem, kto większą przeżywał tragedię: czy Wrzesiński, który zaprzepaścił szanse na zwycięstwo, czy Sałyga, który przez nieuwagę spowodował upadek kolegi.



Przez jedenaście dni walczyli kolarze z czasem, kurzem, deszczem, słońcem, chłodem i wiatrem, walczyli również — o czym trudno przemilczeć — z błędami organizacyjnymi kierownictwa wyścigu.

Tych pięćdziesięciu kolarzy spośród 83, którzy wystartowali z Warszawy, wykazało wielki hart ducha, siłę mięśni i prawdziwą sportową ambicję. Niewielu tylko z nich przejechało trasę bez upadku i poważniejszych defektów. Wyścig był ciężki, długi i uciążliwy. Mimo to ukończyło go 60,2 proc. kolarzy.

Spośród młodych zawodników na wyróżnienie zasługują ci wszyscy, którzy wyścig ukończyli. Miejsca w pierwszej dziesiątce: Ulika, Chwiendacza, Więckowskiego, Zdunka — są dla tych zawodników wielkim sukcesem. Podobnie jak 11-te miejsce Czyża i 13-te Świercza.

Tak, jak optymistycznie oceniać możemy poziom sportowy naszych kolarzy, tak z lękiem obserwujemy nieudolność organizacyjną kierownictwa wyścigu.

Opóźnienie startu w Tomaszowie Lubelskim i przybycie kolarzy na metę w Lublinie dopiero w godzinę i kwadrans po zaplanowanym terminie, pośród całkowitych ciemności — to kompromitujący kierownictwo wyścigu organizacyjny skandal. A niedbalstwo to skończyć się mogło tragicznie!

Błędów organizacyjnych było, niestety, więcej. Wielu kolarzy nie stosowało się do regulaminu wyścigu. Wozy techniczne wszystkich prawie zrzeszeń udzielały kolarzom ich barw klubowych niedozwolonej pomocy na trasie. Wielekroć rower z przebitą dętką wymieniany był, mimo zakazu, na nowy.

Podawano żywność i napoje poza punktami odżywczymi.

W jednym z niewielu wypadków komisja sędziowska za świadome wprowadzenie jej w błąd zdobyła się na ostre ukaranie kierownika jednego ze zrzeszeń. Nakazała mu jechać przez trzy dni z rzędu za wyścigiem, w wozie ciężarowym „Posterunki zdjąć". Co uczynił wówczas ów kierownik? Nie zastosował się po prostu do orzeczenia komisji sędziowskiej. Wielu było oburzonych, wielu śmiało się pod nosem (z komisji sędziowskiej). Gdy sprawa przybrała już zbyt ostry charakter, kierownik skapitulował, ale zamiast jechać przez trzy dni za wyścigiem, jechał tylko przez dwa!

Podskakując w wozach pomiędzy Przeworskiem a Tomaszowem Lubelskim po straszliwych wertepach, odnieśliśmy wrażenie, że trasą tą przed nami nie jechał żaden z organizatorów wyścigu. Trudno bowiem uwierzyć, by, znając tę trasę, można było zdecydować się na przewóz nią zmęczonych, samotną jazdą na czas, kolarzy, którzy za chwilę mieli już po raz drugi w tym dniu wystartować z Tomaszowa do 120-kilometrowego wyścigu z metą w Lublinie.

Etap ostatni Lublin — Warszawa nie był ciekawy, losy wyścigu były już przesądzone...

Zwarta grupa kolarzy trzymała się razem prawie aż do granic Wielkiej Warszawy. Tu wyrwał się Wójcik, który wspaniałym akordem, jeszcze jednym etapowym zwycięstwem, zakończył jako przodownik ciężką walkę w IX Wyścigu Kolarskim Dookoła Polski.

TADEUSZ KARWIŃSKI



Ulik i Chwiendacz — to chyba najmłodsi zawodnicy Wyścigu. Pierwszy urodzony w 1933 r., drugi w 1932 r. Pierwszy był w końcowej klasyfikacji trzeci, a drugi — szósty.

Edward Lech
PAMIĘTNIK KIEROWCY

(dokończenie)

PONIEDZIAŁEK.

Co za śliczne widoki na trasie Zielona Góra — Jelenia Góra, niezatarte wrażenia, wszędzie zielono, góry i góry. Kolarze jadą z ogromną szybkością, że aż człowiek się boi, czy aby któryś nie wpadnie zaraz do rowu. Dobrze tu się czuje Gabrych, który przed kilkoma laty na serpentynach Karkonoszy połamał żebra. Teraz już wie, jak trzeba w górach jeździć. Gdy wjeżdżam na wzgórze, „Tatra" szczeka, jakby za chwilę miała stanąć. Zresztą nic dziwnego, ma porządny ładunek (wiezie kierownictwo wyścigu i według moich pobieżnych obliczeń, „pi razy oko", ważą oni razem ze 300 kg).

WTOREK.

Wstyd mi trochę za niektórych trenerów. Kierownik wyścigu nieraz musi upominać nie pomagajcie swoim zawodnikom. Ktoś tam nawet trzymał się ręką samochodu. Trenerzy tak się urządzają, że na punktach żywnościowych biorą paczki dla swoich zawodników. Jadą samochodem pareset metrów i wtedy dopiero podają, zresztą często z samochodu, co jest kategorycznie zabronione. Należałoby skończyć z tym.

Dzisiejszy etap do Opola był bardzo fajny i ciekawy. Jakieś 20 km przed miastem wpadła na szosę para rowerzystów na tandemie. Jechali, że aż iskry szły. Dopędzili czołówkę. Milicjanci nie wiedzieli, co robić. Czy to zawodnicy, czy nie? Bo wyglądali na zawodników. On opalony, muskularny, ona też, sukienka fruwa jej wysoko koło oczu, ale ona na nic nie zwraca uwagi, tylko ciągnie do przodu, co sił w nogach. Na ulicach Opola już wymijali czołówkę. Dopiero przed stadionem któryś z milicjantów zdecydował się i kolarską parę zatrzymał. A szkoda, ciekawe, co by było dalej.

ŚRODA.

Jesteśmy w starym Krakowie, mieście, które, choć jestem warszawiakiem z krwi i kości, lubię bardzo. Widziałem na dzisiejszym etapie kraksę Wrzesińskiego, Liszkiewicza. Aż płakać się chce. Takie swoje chłopaki i już nie jadą. Że też ten Salyga nie mógł uważać. A wrzód mógł trochę poczekać i dać znać o sobie Liszkiewiczowi przynajmniej za tydzień. Coraz mniej kolarzy, a wyścig staje się coraz bardziej zacięty.

Wydano rozporządzenie, że podawać można żywność tylko w obrębie 500 m koło punktów odżywczych. Kończę, jutro mamy dzień odpoczynku, napiszę więcej.

PIĄTEK

O Nowej Hucie czytałem wiele, wiele słyszałem. Mam kolegów, którzy pracują w kombinacie jako kierowcy. Ale zobaczyć Hutę samemu, na własne oczy, to dopiero przyjemność.

Dzień odpoczynku w Krakowie upłynął bardzo miło. Zwiedziliśmy muzea, a po drodze oglądałem wystawy części samochodowych, których w Krakowie jest znacznie więcej niż w Warszawie.

SOBOTA

Po szofersku mówi się „iskra uciekła mi w koło". Inaczej — motor nie chciał jechać. Wzięliśmy w Rzeszowie pasażerkę, młodą kobietę. Motor nie pali. Kobieta wysiadła — jedziemy. Droga straszna, jeszcze nie wykończona. Reperują jedną połowę, a drugą rozkopali na kilka metrów głębokości.

W ogóle na całej trasie bałagan „nie z tej szosy". Służba porządkowa nie może sobie dać rady z furmankami. Samochody, motocykle pędzą wprost naprzeciw kolarzy. O zjechaniu na bok nie chcą słyszeć.

Szczególnie jeden motocyklista chciał koniecznie zobaczyć kolarzy. Wołamy do niego: stań koło drogi, człowieku, zobaczysz to samo. Ale mów do niego... Jedzie naprzód jak wariat. My za nim. Zakręt. I widzę tylko tuman kurzu i iskry. Motor przekoziołkował kilka razy i wpadł do rowu.

— No, koniec... Ale nie minęła minuta a z rowu ktoś wstaje. Biały z kurzu, trochę jeszcze zamroczony, bo widać jak nierówno idzie. Wołamy przez tubę jadącą za nami karetkę. Podjeżdżamy do faceta. Zobaczył nas i, wyobraźcie sobie, wskoczył na motor, który do tej pory nie zgasł — i pojechał dalej. Nie goniliśmy go więcej. Niech tam.

NIEDZIELA—RANO

Wszyscy są podnieceni. Ostatni etap. Za kilka godzin znów w Warszawie. Co tu mówić, jesteśmy zmęczeni. Słaba organizacja wyścigu, długa, męcząca trasa dały się każdemu we znaki. Przecież wczoraj to była prawdziwa tragedia. Odcinek z Przeworska do Tomaszowa — to chyba najgorsza szosa w całej Polsce. Kolarze tak zmęczyli się przejazdem samochodami, że później jechali jak na spacer na Bielany. Do tego wszystkiego jeszcze niesforna publiczność. Za Rzeszowem jakiś „sympatyk" rzucił Wandorowi bukiet kwiatów, prosto w szprychy. Musiał biedak zsiadać i wyjmować każdy kwiatek. A tymczasem inni mijali go.

NIEDZIELA—PO POŁUDNIU

I wreszcie w domu. Przejechaliśmy przez tyle miast, mieszkaliśmy w tylu hotelach. A teraz znów własny dom, własne łóżko i dla samochodu, stary, też własny, garaż. Długo będę pamiętał wyścig. I tego drania, który mi trzy razy wykręcił świecę, a którego nie znalazłem i tego... ze „Sportowca" który namówił mnie do pisania pamiętnika. Tylko przyjechałem do Warszawy, a zaraz na stadionie spotkałem teściową.

— Co ty mnie po gazetach, Edek, będziesz opisywał!

Trudno, wpadłem. Ale nie żałuję. Nie żałuję, chociażby dlatego, że wiem teraz, co to znaczy być kolarzem, znam Wójcika Wrzesińskiego, o których przed tym czytałem tylko w prasie. Do zobaczenia w 1953 roku.

P.S. Gdy skończyłem pisać, spojrzałem jeszcze na licznik. Razem przejechałem 2.272 km.



— Wójcik, Wójcik, Wójcik! — skanduje stadion w Warszawie, a wychowawca Wójcika, trener Kudlak, podbiega do zadyszanego jeszcze jazdą kolarza i sam unosi go do góry. Każdy chciał zobaczyć w tym dniu zwycięzcę, każdy chciał nieść go na rękach.



— Wacuś, przecież Cię nie widziałem, wolałbym sam przegrać, niż ciebie przewrócić — usprawiedliwiał się Wrzesińskiemu Salyga po nieszczęsnej kraksie, w wyniku której Wrzesiński musiał się wycofać z wyścigu.

TYDZIEŃ W „SPORTOWCU"

● Piłkarze Chin Ludowych, przebywający w Polsce, rozegrali dwa ostatnie spotkania. W Szczecinie przegrali z reprezentacją miasta 1:3 (0:2), w Warszawie ulegli reprezentacji stolicy 2:6 (1:3). Goście, przyjmowani niezwykle serdecznie przez widownię, zademonstrowali ładną, dobrą technicznie i prawdziwie dżentelmeńską grę.

● IX Wyścig Kolarski Dookoła Polski zakończył się ostatecznie zwycięstwem Wójcika (CWKS) — 54:56:58, 2) Kapiak (CWKS) — 55:11:41, 3) Ulik (Gwardia) — 55:18:38. W konkurencji drużynowej: 1) CWKS — 165:00:23, 2) Gwardia — 165:54:44, 3) Włókniarz — 167:24:55.

● W rozegranych w Sopocie łuczniczych mistrzostwach Polski w ogólnej punktacji w konkurencji kobiet mistrzostwo zdobyła zasłużony mistrz sportu Kurkowska-Spychajowa, uzyskując 2.457 pkt., przed Kondracką — 2.145 pkt. W konkurencji mężczyzn w ogólnej punktacji zwyciężył Mazurek (Ogniwo Kraków) — 2.528 pkt., przed Sobusiem (Unia Zgierz) — 2.389 pkt.

● Spotkania piłkarskie o mistrzostwo I ligi: w Warszawie Kolejarz pokonał Unię (Chorzów) 6:0 (1:0), w Gdańsku Budowlani zwyciężyli Kolejarza (Poznań) 3:1 (1:1), w Bytomiu Ogniwo wygrało z krakowską Gwardią 2:0 (1:0), w Chorzowie Budowlani zremisowali z Ogniwem Kraków 0:0, w Krakowie warszawski CWKS zremisował z OWKS 1:1 (1:0).

● Mistrzostwa gimnastyczne Polski, rozegrane we Wrzeszczu, przyniosły następujące wyniki: W kl. I w punktacji ogólnej mistrzynią Polski została Kubalanka (Kolejarz) — 56,60 pkt., w konkurencji mężczyzn — Tomala (CWKS) — 55,90 pkt. W klasie mistrzowskiej w konkurencji kobiet pierwsze miejsce zajęła Swierzy (Stal) — 76,65 pkt., przed Horzonek (Stal) — 75,30 pkt. W konkurencji mężczyzn tytuł zdobył Sobala (Stal) — 110,75 pkt., przed Gacą (Górnik) — 110,60 pkt. Jokiel był piąty — 103,90 pkt.

KIBICE NA SZOSIE



Drążkowski po(d)pisał się dobrze w pierwszej części wyścigu, niestety, na 6 etapie musiał wycofać się z powodu przeziębienia.

— Panie, wyobraź pan sobie, czwarty raz ten Wrzesiński jest u nas w Olsztynie pierwszy. To ulubieniec naszego miasta. Podczas Wyścigu Dookoła Warmii i Mazur zobaczyłem go pierwszy raz. To rasowy kolarz!

— A pan sam też uprawia sport? — pytam Edwarda Bujarskiego, pracownika Woj. Centrali Handlowej.

— Tak, piłkę nożną najwięcej, ale szkoda, że człowiek ma już 35 lat, bo kolarstwo to fajny sport.

— Też ci znowu sport! — wtrąca sceptycznie stojący obok Bujarskiego też Edward, ale Włodarczyk, kolejarz.

— A pan dlaczego kolarstwa nie lubi? — pytam zdziwiony.

— Co on tam nie lubi — odpowiada zamiast Włodarczyka Bujarski — tylko przegrał dwie czekolady, bo mówił, że Hadasik będzie pierwszy.

ZA WOLNO

— Rysiu, tam, tam, o jedzie, numer zdaje się 37.

Rysio dostrzegł już wjeżdżającego, ale zawiedziona minka najmłodszego kibica Bydgoszczy wcale nie świadczy, aby umorusany błotem, pędzący chyba 45 km na godz. Wrzesiński — zrobił na nim większe wrażenie.

— Pomału — powiedział tylko i przycisnął się mocnej do mamy, pani Ireny Lorenc.

— Co to, Rysia nie interesuje kolarstwo? — pytamy.

— Za mała szybkość. Widzi pan, mój mąż to stary żużlowiec. Wszyscy chodzimy na zawody motorowe, więc szybkość kolarza dla „znawcy" żużla nie jest imponująca.

Nagle Rysio wyrywa się prawie mamusi z rąk, aby lepiej przyjrzeć się przejeżdżacemu kolarzowi.

— Mamo, mamo, dlaczego ten pan ma aż dwie koszulki?

Zainteresował się...

Przyp. red. — Ten pan w dwóch koszulkach to przodownik wyścigu do Bydgoszczy — Drążkowski, któremu założono żółtą koszulkę na klubową w czasie jedynego w Gdańsku startu. Drążkowskiego wprowadzono w błąd, mówiąc, że będzie jeszcze start ostry. Tak więc 190 km jechał w dwóch koszulkach.

NAJSTARSZY SANITARIUSZ

Mieszkańcy Bydgoszczy dobrze znają siwego pana z opaską Czerwonego Krzyża na ramieniu. Nie ma zawodów, na których by ten 65-letni siwy pan nie biegał z sanitarną torbą, by w razie wypadku pośpieszyć z pomocą. Kolarstwo upodobał sobie najbardziej. Jan Kozalski, bo tak się nazywa, pamięta jeszcze dobrze zawody sprzed 25 lat, kiedy sanitarka, stary, połamany gruchot, nie mogła nadążyć za jadącymi kolarzami.

— A mieliśmy wtedy dużo roboty. Kolarze jeździli na słabych rowerach, wypadków na szosie było bardzo dużo. W ogóle nie dbano o zawodników. Pamiętam, że w wyścigu do morza etap wypadł w Starogardzie. Wzięli nas w opiekę ułani. Spaliśmy w stodole na sianie. Każdy dostał jeden koc. Pod nami stały konie, przez dziurawy dach leciał ciurkiem deszcz.

— A jak jest teraz? — rzucam pytanie.

— Chyba nie trzeba mówić. Kolarze mieszkają w wygodnych hotelach. My mamy bardzo dobry sprzęt, nowoczesne „Skody" a i wypadków jest o wiele mniej.

KIBIC POZNAŃSKI JAN CHUDY

Na trasie z Bydgoszczy, tuż koło Poznania, leży mała wioska Cotoń. Zatrzymaliśmy się na chwilę, aby powiedzieć oczekującym na kolarzy mieszkańcom wsi, że czołówka będzie za kilka minut. Podszedł do nas jakiś starszy człowiek.

— A dużo ich jedzie? — zapytał wyjmując z ust fajkę.

— Prawie osiemdziesięciu — odparłem.

— I oni tak przez całą Polskę na rowerach jadą?

— Tak, o to właśnie chodzi. A co pan nigdy jeszcze wyścigu kolarskiego nie widział? Przecież zdaję się w 1948 r. przejeżdżał tędy Wyścig Dookoła Polski.

— Ale wtedy pracowałem jeszcze u bogacza. Nie było chwili czasu, aby wyjść na drogę.

— A dziś?

— Dziś jestem członkiem spółdzielni produkcyjnej. Jan Chudy nie jest już parobkiem. Mam swoje mieszkanie, swoją działkę. Spółdzielnia nasza odstawiła już zboże Państwu. I ma człowiek sporo czasu, aby nawet na cyklistów mógł popatrzeć.

BABCIA KLABIŃSKA

Na czele szła 65-letnia Petronela Owsianna, z domu Klabińska, za nią dwie siostry Władka, bracia, szwagrowie...

Porządkowi nie chcieli wszystkich wpuścić na stadion, gdzie odpoczywali zawodnicy, aby nie było zamieszania. Ale donośny głos Petroneli:

— Muszę uściskać chłopaka! — zrobił swoje. I cała rodzina Klabińskich objęła za chwilę swą rodzinną dumę. Korzystamy więc z okazji, aby przeprowadzić błyskawiczny wywiad z p. Owsianną.

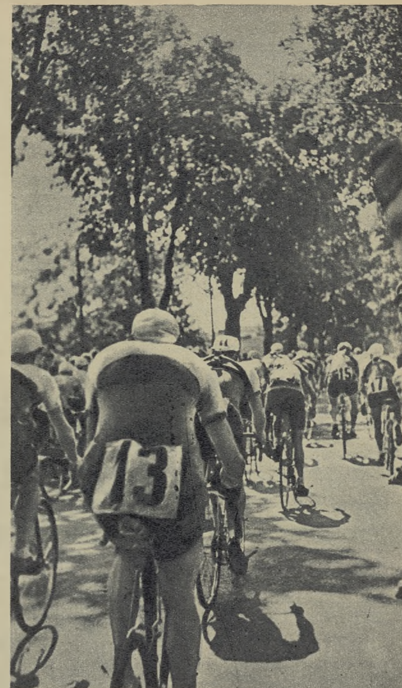
— Dla naszej rodziny kolarstwo to nie żadna nowość. Chyba wiecie, że na rowerach, jeździ czterech Klabińskich, inni grają w piłkę albo uprawiają boks.

— A pani?

— Pan żartuje. Teraz? Przecież jestem siwiuteńka. Ale za młodu, gdy człowiek był pełen sił, to owszem, zawsze byłam na swoim podwórku najlepsza w berka.

— Ale kibicem — to babcia jest zapamiętałym — dodaje najmłodszy z Klabińskich, Marek. Przecież na metę do Zielonej Góry przyjechała aż z Grodziska Mazowieckiego.

A. BRONIAREK



Wielka „13" wyścigu — Kapiak — często pokazywał plecy swym dużo młodszym kolegom.
(Specjalny fotoreportaż „Sportowca" S. Rostkowski)



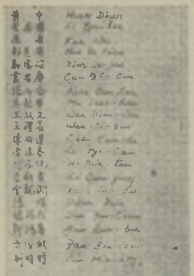
Pij, Węglendo!

SZUKAJ Siebie



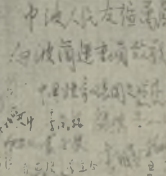


Pamiętny dzień startu na Pl. Konstytucji.



„Niech żyje przyjaźń narodów polskiego i chińskiego. Członkowie reprezentacji piłkarskiej Chin pozdrawiają za pośrednictwem „Sportowca" sportowców Polski".

CHIŃSKIE PODPISY



SKS-Y DO ROBOTY

Będąc w Zakopanem na wakacjach dużo czasu spędziłam na basenie pływackim na „Jaszczurówce" i tam dobrze poznałam „życie sportowe" zakopiańskiej młodzieży szkolnej. Uwagę moją zwróciło to, że młodzi zakopiańczycy zajmują się niemal każdą dziedziną sportu. Nie mówię już o nartach, bo to jest zrozumiałe, ale siatkówka, koszykówka, lekkoatletyka, gimnastyka i szachy.

W Zakopanem zobaczyłam po raz pierwszy kobietę przy szachownicy. Ewa Neuman (100 m. motylem — 1:50) bardzo dużo czasu poświęca szachom i bardzo je lubi. I wtedy właśnie pomyślałam: dlaczego w szkołach warszawskich ta dziedzina sportu jest tak bardzo zaniedbana? Niedawno szachy zostały włączone do sportu. Dużo się przecież o tym pisało, mówiło, a w szkołach jednak to nie znalazło oddźwięku.

Mnie się zdaje, że to jest błąd i to duży. Szachy zmuszają do myślenia, do szybkiej orientacji. Smutne jest to, że w szkołach jedynie lekkoatletyka, pływanie, gimnastyka i piłka ręczna znalazły zwolenników. Tyle jest innych ciekawych gałęzi sportu, które pozostają gdzieś na szarym końcu.

Pamiętam, jak jeden z uczni szkoły TPD X (kol. Tomaszewski) trzy lata temu interesował się floretem. W szkole nie mógł trenować, zapisał się do CWKS i tam w 1950 r. w mistrzostwach indywidualnych klubu we florecie zajął II miejsce. Przez dwa lata nic jednak się nie zmieniło. Floret w szkołach jest nadal nieznany, nikt się nim nie interesuje. A szkoda. Jest to jedna z najładniejszych dziedzin sportu i właśnie młodzież szkolna powinna się nią zainteresować. Są przecież trenerzy, są sale, jest sprzęt i na pewno byliby chętni. Tylko tym trzeba się zająć.

W obliczu nowego roku szkolnego przed SKS-ami stoją nowe poważne zadania. SKS-y muszą doprowadzić do jeszcze większej popularyzacji sportu na swoim terenie, a tym samym do zwiększenia ilości zdobytych odznak SPO i BSPO oraz do zdobywania klas zawodniczych przez uczni. Oprócz tego SKS-y od samego początku roku szkolnego muszą ostro występować przeciwko dwójkowiczom oraz w miarę możności pomagać im.

SKS-y muszą wzmocnić i nawiązać współpracę z klubem opiekującym się danym SKS-em i przede wszystkim muszą wziąć się za dziedziny sportu traktowane dotąd po macoszemu.

Pozdrowienia

KIRA GAŁCZYŃSKA

BRAWO SIATKARKI!

Po dwóch startach w mistrzostwach Europy (Sofia 1950 r. i Paryż 1951 r.) i dwukrotnym zdobyciu tytułu wicemistrza za wspaniałą drużyną ZSRR, siatkarki nasze przystąpiły do najpoważniejszej próby — do walki o mistrzostwo świata. Polki były bardzo dobrze przygotowane do mistrzostw. Znając wartość swych przeciwniczek z Sofii i Paryża, reprezentantki nasze mogły się obawiać tylko 2 zespołów: bezkonkurencyjnych siatkarek ZSRR i drużyny CSR.

Należy stwierdzić, że Polki nie zawiodły w Moskwie. Szły od zwycięstwa do zwycięstwa, aż do... decydującego spotkania o tytuł mistrza świata z drużyną ZSRR. W pierwszym spotkaniu Polki wygrały z Węgierkami 3:0 (15:5, 15:3, 15:5), następnie uporały się z Bułgarkami 3:1 (15:12, 15:9, 4:15, 15:9). Oddanie trzeciego seta nastąpiło z winy słabej gry drugiej, rezerwowej szóstki. Sympatyczne Hinduski zostały lekko pokonane przez drugą szóstkę 3:0 (15:1, 15:3, 15:0), również Rumunki musiały uznać wyższość siatkarek polskich 3:1 (15:10, 11:15, 15:5, 15:7).

Piąty mecz — z drużyną CSR był pokazem koncertowej gry Polek. Zwyciężając 3:1 (15:5, 15:8, 10:15, 15:5) siatkarki nasze zademonstrowały klasę godną wicemistrza świata. Pokonanie Francji w szóstym meczu 3:0 (15:7, 15:7, 15:10) było dla pierwszej reprezentacji lekkim treningiem.

Prasa moskiewska nie szczędziła pochwał siatkarkom polskim. Zakrzewską oceniano jako jedną z najlepszych siatkarek świata, podkreślając jej wielką wszechstronność w grze: wspaniałe ścięcia i świetną obronę. Chwalono cały zespół, wyróżniając oprócz Zakrzewskiej — Wojewódzką, młodą Jośko i doskonale serwującą Hajecównę.

Siódmy i ostatni mecz turnieju zakończył się porażką Polek 0:3 (8:15, 4:15, 8:15). Jeszcze raz siatkarki ZSRR udowodniły, że są najlepsze na świecie. Polki zdobyły wicemistrzostwo, za co należy im się wielka pochwała.



Polki (z prawej) w meczu z Węgierkami
(Fot. CAF)

MARIAN WRÓBEL

Pod znakiem Śliwy

X Olimpiada szachowa w Helsinkach została zakończona. Po eliminacjach, w których grało 25 drużyn, sformowano trzy grupy finałowe. W grupie zwycięzców, czyli w tak zwanym finale A, grało 9 drużyn. Czołówka była niezwykle wyrównana, spotkania bardzo interesujące i zażarte, dlatego niewielkie widzimy różnice punktowe między drużynami. Jak było do przewidzenia, drużyna Związku Radzieckiego, składająca się z sześciu arcymistrzów, zajęła pierwsze miejsce, osiągając 21 p. Liczyliśmy się ze znacznie większą różnicą punktową, ale system olimpijski zniekształcił nieco wyniki, gdyż zamiast jednego ogólnego turnieju, mieliśmy dwa krótkie turnieje, a wiadomo, że na krótkim dystansie trudniej jest wykazać punktową przewagę.

Dalsze pięć drużyn stanowi mniej więcej tę samą klasę: Argentyna, Jugosławia, Czechosłowacja, Stany Zjednoczone i Węgry.

W finale B. Holandia i Izrael zajęły dwa pierwsze miejsca, czyli 10 i 11. Nasz zespół znalazł się na zaszczytnym 12 miejscu, uzyskując $16^{1}/_{2}$ p. Obiektywnie biorąc, jest to wynik dobry i odpowiada mniej więcej sile gry naszej osłabionej drużyny, ale daleki jest od wyniku odpowiadającego naszym ambicjom. Na specjalne podkreślenie zasługuje wynik mistrza Polski, Śliwy, który na trzeciej i czwartej szachownicy uzyskał świetny wynik $8^{1}/_{2}$ p. z 11 partii. Również dobry wynik uzyskał Grynfeld $6^{1}/_{2}$ p. z 9. Natomiast znacznie poniżej swych możliwości zagrał Pytlakowski, z 7 partii — tylko $^{1}/_{0}$ p., co jest chyba jego najgorszym wynikiem życiowym. Również tylko $^{1}/_{2}$ p. osiągnął Litmanowicz i te dwa wyniki mocno zaważyły na lokacie naszej drużyny, która w innym nieco składzie miałaby poważne szanse.



SEDAN W SOPOCIE

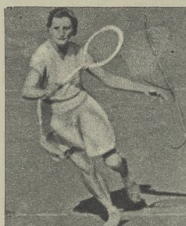
(Korespondencja własna z Sopot).

Po 10 dniach przelotnych deszczów i porywistych wiatrów, które dobrze zalazły za skórę zarówno zawodnikom jak i publiczności, doczekaliśmy się wreszcie w czasie ostatnich akordów mistrzostw tenisowych — finałów, pięknej, słonecznej pogody. W niedzielę rozkoszowaliśmy się nie tylko piękną aurą, ale i dobrym tenisem, a dobrym dlatego, że finał gry pojedynczej mężczyzn odbywał się w konkurencji... czechosłowackiej. A przyznać trzeba, że Czechosłowacy stylem swej gry bili na głowę zespół Rumunii, NRD i Polski. Zademonstrowali oni prawdziwie nowoczesny, ofensywny tenis. Grali silnymi, atakującymi piłkami, zbierając liczne gemy, sety i mecze, i zdobywając na 8 konkurencji 5 tytułów mistrzowskich, 1 tytuł mistrzowski wspólnie z Polską (Dobes, Orlikowski) i 3 wicemistrzostwa.

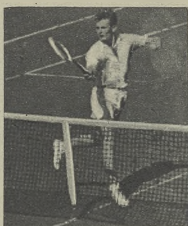
Javorsky rozegrał w finale chyba najlepszy swój mecz podczas całego turnieju. W pierwszym secie Krejcik uzyskał prowadzenie, ale w następnych Javorsky precyzyjnymi, dynamicznymi piłkami zmusił partnera do kapitulacji, wygrywając 5:7, 6:0, 6:3, 6:3.

Piątek ustępował Czechosłowakom o klasę. Po cennym zwycięstwie w ćwierćfinale nad Rumunem Cobzucem nie umiał on nawiązać równorzędnej walki z Krejcikiem. Niewiele lepiej wypadł w spotkaniu z tymże Krejcikiem w ćwierćfinale Radzio. Ale przynajmniej miał dobre momenty i w trzecim secie pokazał, że potrafi grać.

Bezpośrednio po czechosłowackim finale w grze pojedynczej mężczyzn odbyła się gra mieszana, w której para mistrzów Holeckova - Javorsky sięgnęła po jeszcze jeden tytuł, zwyciężając z dziecinną łatwością parę Jędrzejowska - Piątek 6:1, 6:4. Kontrast, jaki przedstawiała gra Polaków na tle poprzedzającej ją bezpośrednio finałowej walki Javorsky'ego z Krejcikiem, był tak wielki, że budzić musiał smutne refleksje, co do sytuacji w polskim tenisie.



Holeckova atakuje
Fot. S. Izdebski



Najlepszy junior turnieju — Dobes (CSR).

W grze pojedynczej kobiet spotkało nas rozczarowanie. Pierwsze trzy gemy poszły jak z płatka. Zanosiło się na to, że Jadzia rozniesie Holeckovą. Aż tu nagle zmiana. Czechosłowaczka otrząsnęła się, rozegrała i zwyciężyła bez trudu 6:4, 6:0, demonstrując szereg ładnych zagrań.

Finał gry podwójnej, to jeszcze jedna rozgrywka wewnętrzna Czechosłowaków, to jeszcze jeden pokaz dobrego tenisa. Tym razem zobaczyliśmy cztery najlepsze rakiety CSR Javorsky'ego i Krejcika oraz Smolinsky'ego i Stojana. Po pięciosetowej zaciętej walce zwyciężyła para Javorsky — Krejcik 6:2, 6:4, 6:8, 5:7, 6:4.

Nasza najlepsza para Piątek—Radzio odpadła już w ćwierćfinale, przegrywając z mierną parą rumuńską Pusztay—Zacopcanu 1:6, 3:6, 6:4, 3:6 i demonstrując wprost rozpaczliwy poziom gry.

Dobrze spisała się Ryczkówna, zwyciężając pewnie w finale Niemkę Wild 6:0, 7:5 i zdobywając tytuł mistrzyni juniorek. Drugi tytuł mistrzowski uzyskała ona wraz z Wilczkiem w grze mieszanej juniorów po zaciętej walce z dobrą parą czechosłowacką Dobes—Dvorackova 7:5, 7:5.

Wreszcie w grze pojedynczej juniorów mistrzem został doskonale zapowiadający się Czechosłowak Dobes po ładnej walce z utalentowanym Rumunem Dancea (6:2, 6:3). Dobes ma również na „sumieniu" naszych juniorów Dittricha (6:3, 6:1) i Łuckiewicza (8:6, 6:4).

J. DOWNAROWICZ

KROK W TYŁ WIOŚLARZY

Wioślarskie mistrzostwa Polski w Bydgoszczy zgromadziły na starcie około 380 zawodników. Były więc znacznie mniej obesłane niż mistrzostwa zeszłoroczne, w których startowało ponad 540 wioślarzy. Powody tego kroku w tył to nie tylko trudności finansowe klubów pod koniec sezonu, lecz przede wszystkim, co jest poważnym błędem, nastawienie pracy na trening tylko osad mistrzowskich, przygotowywanych do startu w eliminacjach przedolimpijskich. Patrząc na Olimpiadę, zapomniano o młodzieży i o kobietach.

Tak mało startujących kobiet nie spotkało się jeszcze na żadnych regatach powojennych. Nawet w ósemkach o Mistrzostwo Polski stanęła tylko jedna osada — nie było kandydata na wicemistrza.

*

Biegi mistrzowskie mężczyzn były obsadzone silnie. Wygrywali faworyci, lecz nieraz po ciężkiej walce. Szczególnie bieg czwórek ze sternikiem był bardzo zacięty. Zwyciężyła osada olimpijska AZS Wrocław przed AZS Kraków, gdzie jechało również 2 olimpijczyków Thomas i Lorenc.

Dużą sensacją było zwycięstwo Jagodzińskiego i E. Szwarcera nad Lorencem i Thomasem w dwójkach ze sternikiem. Krakowiacy, pojechali bardzo źle taktycznie i niestety po Olimpiadzie cofnęli się w technice wiosłowania. Zwycięstwo wrocławian, pierwszy raz jadących na tym typie łodzi, całkowicie zasłużone.

*

Tak, jak „Tojo" Kocerka był klasą dla siebie w biegu jedynek męskich, tak samo Iwona Jezierska dowiodła, że obecnie jest bezwzględnie najlepszą polską wioślarką. Jej czas 3 min. 45 sek. jest nie tylko nowym rekordem toru bydgoskiego i najlepszym wynikiem, jaki kiedykolwiek uzyskano w Polsce, lecz również najlepszym tegorocznym czasem w Europie.

*

Piękny przykład ofiarnej, długoletniej pracy, to czwórka „Unii" Kruszwica, która po 4 latach jazdy, nie zrażając się porażkami, zdobyła wreszcie Mistrzostwo Polski kobiet. Taką samą nagrodą za systematyczny trening jest zajęcie drugiego miejsca za Kocerką przez Dezcö Csaba — najstarszego zawodnika regat.

*

Bieg ósemek wygrali „Budowlani" Warszawa. W ten sposób do Warszawy wrócił tytuł mistrzowski, utracony przed 26 laty. Ostatni raz zdobył go AZS Warszawa w 1927 roku.

*

Najwszechstronniejszym wioślarzem regat okazał się Henryk Kocerka — brat naszego zasłużonego mistrza sportu Teodora. Zdobył on mistrzostwo zarówno na dwójce bez sternika, jak i na dwójce podwójnej.

*

Mimo pięknej, słonecznej pogody na torze regatowym zebrało się zaledwie około 3000 widzów. Jednocześnie bowiem odbywały się w Bydgoszczy wyścigi motocyklowe. Regaty skończyły się deficytem, który musi pokryć GKKF. Wiedząc o zbieżności terminów regat i wyścigu motocykli „Unia" Kruszwica proponowała 6 tygodni przed tym przeniesienie mistrzostw na Gopło, gwarantując co najmniej 10.000 widzów i biorąc całe ryzyko finansowe i wszystkie koszta na siebie. Na swoją ofertę kruszwiczanie nie dostali nawet odpowiedzi.

NA ANTENIE „SPORTOWCA"

— W mistrzostwach piłkarskich ZSRR Dynamo z Tbilisi zremisowało 0:0 z Dynamo (Kijów), a Zenit (Leningrad) zremisował z drużyną miasta Kalinin 1:1 (0:0).

— W mistrzostwach lekkoatletycznych ZSRR — Uhodow ustanowił nowy rekord świata w chodzie na 50 km — 4:20:30.

— Mistrz olimpijski w biegu na 1500 m — Barthel zaatakował w Luksemburgu rekord świata na tym dystansie. Próba się nie powiodła, chociaż Barthel uzyskał świetny czas 3:44,6 — czwarty wynik jaki kiedykolwiek osiągnięto na 1.500 m na świecie. Drugi był Mc Millan (USA) — 3:45,2, trzeci Belg Gaston Reiff w tymże czasie (nowy rekord Belgii). Bieg odbył się w ciężkich warunkach atmosferycznych (chłód, deszcz).

— W Marsylii na zawodach pływackich A. Jany osiągnął na 100 m st. dow. — 57,9 przed Tamigawa (Jap.) — 58,6. Na 400 m st. dow. Boiteux pokonał znów Japończyka Furuhashi w czasie 4:42,1.

— Na welodromie Parc de Princes w Paryżu odbyły się mistrzostwa świata zawodowych kolarzy-sztajerów na dystansie 100 km. Zwyciężył Belg Verschuren Adolf (imiennik uczestnika Wyścigu Pokoju) w czasie 1 g. 20:48,5

CHAB.

Sprostowanie

W numerze 34 „Sportowca", w odpowiedziach „Czy znasz się na sporcie" wkradła się pewna nieścisłość. Według przepisów obowiązujących w piłkarstwie liczba graczy w drużynie jest ograniczona i nie może wynosić mniej niż 8 zawodników (razem z bramkarzem). Jest to minimalna liczba graczy w drużynie. Mniejsza liczba powoduje przerwanie gry (walkower dla drużyny przeciwnej 3:0).

Zasłużony mistrz wielobłędu



ŚMIERĆ CZYHA NA LEKKOMYŚLNYCH

Tak z bliska wygląda sławny Żabi Koń, długo uważany za najtrudniejszy problem taternicki. W każdym razie wszystkie drogi na Żabiego są niezwykle eksponowane, jak widać na obrazku...



Niewinne Buczynowe Turnie na Orlej Perci, tzw. trudniejszy szlak tego popularnego „spaceru po Tatrach", były świadkiem niejednej tragedii wśród niewykwalifikowanych a lekkomyślnych turystów.

(Fot. T. i S. Zwoliński)

Taternik Wojciech Niedziałek, znany nam również z wejścia na „iglicę wrocławską" WZO, zdjęty podczas pokazu manewrowania liną, zorganizowanego przez Sekcję Wysokogórską AZS w Zakopanem.

(Fot. W. Werner)

wysokich górach stale zagrażają człowiekowi poważne niebezpieczeństwa, uwarunkowane przede wszystkim zjawiskami w przyrodzie, z którymi musi się on liczyć nawet podczas łatwych wycieczek, jeżeli zaszłe przemiany (np śnieg, mgła, burza, noc) zaskoczą go nie przygotowanego i nieobeznanego z niebezpieczeństwem.

PLANOWE WYCIECZKI

Taternikowi nie wolno chodzić po górach bezmyślnie. Wycieczki improwizowane, takie na „hurra", są po prostu karygodne. Człowiek powinien czuć się odpowiedzialny nie tylko za siebie, lecz i za towarzyszów wycieczki.

Nie wolno popisywać się odwagą, aby zaimponować innym. Bohaterskim i zdolnym do poświęceń należy być wtedy, gdy tego wymaga sytuacja, gdy trzeba nieść pomoc towarzyszom.

Obowiązkiem taternika jest zapewnienie sobie bezpieczeństwa, zmniejszenie ryzyka do minimum przez dostateczne wyszkolenie i umiejętne zachowanie się w górach.

Wypadki w górach z grubsza podzielić można na 2 kategorie: 1) przewinione (przez turystę) — można również nazwać „subiektywne" (pomimo że „obiekt", np. lawina lub spadający głaz powoduje wypadek), 2) nieprzewinione „obiektywne", a więc zależne tylko od zjawisk przyrody górskiej.

Pierwszy rodzaj wypadków wydarza się często w grupie popularnych szczytów w pobliżu Zakopanego, Giewontu i Czerwonych Wierchów, na które prowadzą zupełnie łatwe drogi, lecz na obszarze których jednocześnie znajduje się wiele przepaścistych ścian i podciętych żlebów. Nieświadomi niebezpieczeństwa turyści — szczególnie podczas niepogody — zwabieni na pozór zupełnie łatwym terenem, stają się ofiarami gór, a raczej swojej lekkomyślności i niedoświadczenia.

Inaczej sprawa się przedstawia wtedy, gdy podczas trudnej wspinaczki pierwszemu z idących urwie się niespodziewanie chwyt spod ręki, a nadomiar złego podczas upadku lina asekuracyjna nie wytrzyma szarpnięcia na haku (ofiarą takiego wypadku był jeden z najsłynniejszych i najlepszych taterników polskich Mieczysław Świerz, który utracił życie na zachodniej ścianie Kościelca).

ZŁOWRÓŻBNA MGŁA...

Właściwie istnieje jeszcze trzecia, pośrednia kategoria wypadków, na pół przewinionych i nieprzewinionych, w których pomimo zaistnienia niespodziewanego zewnętrznego wydarzenia, jednak można się dopatrzyć winy taternika (np. przed wieloma laty zginął na Żabim Koniu znany taternik węgierski Waechter, któremu podczas zjazdu na linie urwała się stara pętla, użyta lekkomyślnie, a pozostawiona na szczycie przez poprzednika).

Jakiego rodzaju niebezpieczeństwa są najczęściej przyczyną wypadku?

Wrogiem Nr 1 taternika lub turysty jest mgła i niepogoda; dlatego podczas nagłej zmiany pogody, a pewnej niepogody powinno się raczej zawrócić z wycieczki. Podczas mgły otaczająca nas sceneria górska zmienia nie do opisania swoje oblicze: nawet na dobrze znanych nam drogach wszystko wydaje się inne, obce. Ulegamy nieprawdopodobnym złudzeniom.

Podczas mgły, zimna i deszczu nie tylko ślizgamy się po stromych upłazach, grabieją nam ręce, woda wlewa się za rękowy, a mgła uniemożliwia orientację, lecz poza tym taka niepogoda fatalnie wpływa na nasz stan psychiczny; tym możemy sobie tłumaczyć fakty, że ludzie popełniają w górach wprost niewiarogodne głupstwa.

Duże niebezpieczeństwo zagraża również z powodu wiecznych śniegów, zalegających podnóża ścian i żleby. Każdy nieostrożny krok po stromym płacie twardego śniegu może spowodować nieszczęście. Początkujący taternik bagatelizuje zwykle grożące mu z tej strony niebezpieczeństwo i pozwala sobie na zjazd na butach dla „przyjemności" albo w celu przyspieszenia zejścia, jakże jednak często jazda taka kończyła się śmiercią turysty.

TRAWKI I LECĄCE GŁAZY

Podobnie niebezpieczne są tzw. strome trawki, czyli urwiste trawiaste stoki, przetykane luźnym głazem. Gdy są one mokre, a nie dysponujemy odpowiednim obuwiem, to każde pośliźnięcie grozi poleceniem w dół, bez możliwości zatrzymania się. Na takich zboczach czuje się niepewnie nawet rutynowany taternik, będąc zmuszony do wytężonej uwagi i zastosowania wszelkich środków ostrożności.

Naturalnym objawem w masywach górskich o kruchej skale są spadające kamienie, przeważnie żlebami lub kominami. Na takie niebezpieczeństwo narażeni jesteśmy najwięcej w godzinach rannych, kiedy słońce zaczyna przygrzewać po chłodzie nocnym. Podchodząc stromym żlebem lub wspinając się kominem, powinniśmy sprawdzić, czy powyżej nas nie posuwają się inni turyści, którzy strącić mogą kamienie. Również ze swej strony musimy uważać, aby nie zrzucać kamieni w dół i tym nie spowodować wypadku. Charakterystyczne jest, że niewprawni turyści nie potrafią chodzić „czysto", to znaczy przez brak pewności w stąpaniu wszystko usuwa im się spod nóg i z łoskotem leci w dół.

Efektowna grań Fajek nad Czarnym Stawem.
(Fot. T. S. Zwoliński)

JAK BURZA — NA DÓŁ...

Burza w górach, która jest zjawiskiem niezwykle pięknym i groźnym, już nie raz była przyczyną nieszczęśliwych wypadków. Gdy biją blisko pioruny, to należy wszelkie przedmioty z żelazem, jak czekany i ciupagi odrzucić daleko od siebie, i natychmiast schodzić w dolinę. Wyładowania elektryczne mogą być do tego stopnia silne, że włosy powstają nam dęba na głowie, a nagromadzone w jednym miejscu kamienie drżą i dudnią jak motor.

Wreszcie sprowadzić może nieszczęśliwy wypadek noc, która zaskoczy turystów zanim zdążą zejść w dolinę. W takich wypadkach należy się kierować rozsądkiem, a więc, nie będąc pewnym bezpiecznego zejścia, trzeba zatrzymać się i przeczekać aż do świtu — chyba że z powodu niepogody moglibyśmy nocy nie przetrzymać.

Zdarza się często, że taternik przymusowo nocuje w ścianie lub na grani, wtedy szuka on możliwie zasłoniętego i wygodnego legowiska przywiązując się dla pewności do skały. Łyk wody z manierki i kawałek cukru lub czekolady okażą się czymś zbawiennym w tym wypadku.

A. SCHIELE

W następnym numerze — „Życie zawisło na linie"...

TRAGICZNY WYPADEK NA ŚCIANIE KOZICH CZUBÓW

W początkach lipca br., zdarzył się w Tatrach nieszczęśliwy wypadek. Dwaj absolwenci architektury z Warszawy Klauze i Dulczewski wybrali się na trudną wycieczkę, na Kozie Czuby. Klauze był kandydatem na członka Klubu Wysokogórskiego, odbył letni i zimowy kurs taternicki, miał więc wstępne przeszkolenie wysokogórskie. O przygotowaniu turystycznym Dulczewskiego, nic nie wiadomo.

250 METRÓW ŚCIANY

Kozie Czuby stanowią masyw skalny o trzech wierzchołkach, leżący między Kozią Przełęczą, a Kozim Wierchem. Od strony Koziej Przełęczy wiedzie na nie łatwa droga Orlą Percią, prowadząca dalej na Kozi Wierch. Zarówno z Koziej Dolinki (tj. od strony Zmarzłego Stawu), jak i z Dolinki Pustej (będącej odgałęzieniem Doliny Pięciu Stawów Polskich), znaleziono na Kozie Czuby wiele dróg, o charakterze taternickim, od łatwych do nadzwyczaj trudnych.

Turyści postanowili wchodzić płd. zach. ścianą (od Dol. Pustej). Ściana ta ma ok. 250 m. wysokości. Przejścia, jakich na niej dokonano, stanowią bogatą siatkę. Obrano drogę opisaną w najnowszym Przewodniku po Tatrach (W. H. Paryski) pod Nr 179. Jest ona wielce urozmaicona, ale zwłaszcza w dolnej części bardzo trudna i silnie eksponowana.

Pierwszego wyjścia na nią dokonał Bronisław Czech, Lida Skotnicówna (która zginęła kilka lat później tragicznie, na płd. ścianie Zamarłej Turni) W. Stanisławski, J. Ustupski i J. Wójcik, 9.VI.1929 roku.

Od dołu wiedzie stroma rynna, bardzo trudna, po gładkich skałkach, w kominek. Po przejściu ok. 30 metrów, idzie się kominkiem dalsze 30 metrów, na teras, poniżej przewieszki. Pewne warianty na tej drodze są możliwe.

Po przejściu wspomnianych wyżej ok. 60 metrów należało iść ku lewej. Tymczasem turyści forsowali przejście pod przewieszką. Być może było ich zamiarem znalezienie nowego wariantu. Asekurowano się przez hak.

Nie wiadomo, kto szedł pierwszy ani nie można było stwierdzić, jaka była bezpośrednia przyczyna wypadku. W pewnej chwili jeden z taterników odpadł od skały, hak nie wytrzymał i został wyrwany, drugi turysta pociągnięty. Spadli ok. 60 metrów. Śmierć nastąpiła natychmiast.

LINA RATUJE ŻYCIE!

Drugi wypadek zdarzył się również w lipcu w północnej ścianie Koziego Wierchu. Zamierzeniem turystów było zrobienie tzw. Filara Leporowskiego. Na ścianę tę wybrał się Wojciech Niedziałek, mający opinię dobrego taternika. Towarzysz jego, także doświadczony turysta, szedł pierwszy. Asekuracja była poprawna, z haka. Prócz tego byli związani liną zjazdową. Spinający się odpadł od ściany, zleciał jakieś 8 metrów, a że ścianka była bardzo stroma, zawisł w powietrzu.

W tej pozycji Niedziałek nie mógł mu pomóc, zdołał go jednak utrzymać. Na jego wołanie przybyli taternicy, będący właśnie w pobliżu i pomogli spuścić zawisłego nad urwiskiem turystę.

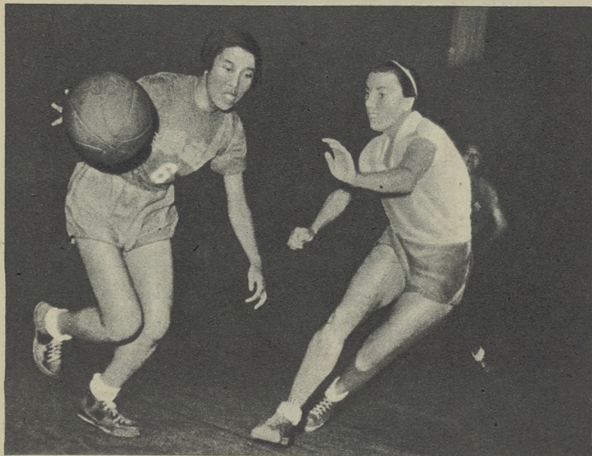
Zdarzenie było dowodem, że poprawna asekuracja prawie zawsze potrafi uchronić od nieszczęścia. W tym wypadku skończyło się na podrapaniu i zdarciu skóry w kilku miejscach.

ST. PORĘBSKI

W POGONI ZA CHIŃSKIM KOSZEM

NARESZCIE W PEKINIE!

KARTKI Z PODRÓŻY POLSKIEGO TRENERA, ZASŁUŻONEGO MISTRZA SPORTU DO CHIN LUDOWYCH



Kamecka w walce z reprezentantką szanghajskiego uniwersytetu.

20 lipca.

Upał straszny. Jedziemy na trening. Na boisku treningowym na Stadionie Armii zgromadziło się tyle ludzi, co u nas na normalnym meczu. 3 — 4 tysiące. Owacyjnie witają nas przy wejściu na stadion.

Za chwilę nasze dziewczęta i chłopcy zalani są potem. Parno i duszno. Strugi potu ściekają z mych pupilek. Jestem zadowolony z nich. Niespodziewanie dobrze wytrzymały trening i widziałem, że czują się doskonale. Lepiej niż chłopcy.

Po południu jesteśmy gośćmi naszej ambasady. Uczestniczymy w uroczystej akademii urządzonej z okazji przypadającego na dzień 22 lipca — Święta Narodowego. Oficjalną część akademii zakończono występami artystycznymi w wykonaniu pracowników ambasady.

21 lipca.

Od rana ulewny deszcz. Całą noc padało. Nasze ogródki przy domkach zalane wodą. Brodzimy boso w ciepłej wodzie deszczowej. Pomimo że deszcz pada, jest bardzo ciepło.

Około południa dowiedzieliśmy się, że mecze odbędą się jutro.

Tymczasem deszcz nie myśli wcale przestać padać. Ulewa wzmaga się. Siedzimy na werandach. W czasie takiej ulewy nie można zwiedzać miasta. Gospodarze nasi chodzą bardzo zmartwieni. Cóż — 20 000 biletów już rozprzedano. Pierwotnie mieliśmy grać w niedzielę 20 bm. Lecz mili gospodarze z uwagi na nasze zmęczenie podróżą przełożyli grę na dzisiaj. A tu jak na złość deszcz. Z całego miasta telefony i zapytania, na kiedy przełożono spotkanie?

Oczywiście, że na jutro — lecz czy deszcz przestanie padać? Wszyscy nie mogą doczekać się naszego pierwszego występu. Musicie wiedzieć, kochani Czytelnicy, że koszykówka jest narodowym sportem chińskim.

W mieście, gdziekolwiek się obrócisz, znajdziesz wszędzie boiska do koszykówki. W parkach kultury po kilkanaście boisk obok siebie. Ciągły na nich ruch. Młodzież szkolna, studenci, wojskowi, robotnicy — wszyscy grają w kosza. O popularności koszykówki w Chinach świadczy najlepiej fakt, że Chiński Komitet Kultury Fizycznej jest w posiadaniu przeszło 600 zaproszeń z całych Chin dla polskich koszykarzy i koszykarek. To znaczy, że, chcąc skorzystać z tych zaproszeń, musielibyśmy przedłużyć nasz pobyt w Chinach co najmniej do 5 lat...

Tak, koszykówka jest w Chinach sportem masowym.

Obserwując w Polsce obecną fazę rozwojową naszej koszykówki, śmiem twierdzić, że szybko idziemy naprzód i że najdalej za 2 — 3 lat koszykówka w Polsce będzie także sportem masowym.

Deszcz nie ustaje. Gospodarze, chcąc umilić nam czas, wyświetlają w świetlicy film przedstawiający uroczystości i defiladę w związku z drugą rocznicą wyzwolenia Chin. Piękny film

22 lipca.

W nocy deszcz przestał padać. Jest bardzo ciepło. Do południa mieliśmy zwiedzać „Świątynię Nieba", lecz ze względu na możliwość przyspieszenia godziny spotkania i oficjalnego otwarcia pozostajemy w domu i odpoczywamy. Niestety. Drobny deszcz, niczym typowy polski kapuśniaczek, zaczyna padać. Wkrótce zamienia się w ulewę. Gospodarze są bardzo zmartwieni. Nam także jest bardzo przykro z powodu ich kłopotów.

Przy obiedzie nikt z nas nie wątpił, że spotkanie dzisiaj się nie odbędzie. A jednak. Około godziny 14.00 deszcz ustał. Natychmiast pakujemy się w autobusy. Jedziemy na mecze. Chłopcy i dziewczęta dyskutują, w jakim stanie będzie boisko po takiej ulewie.

Okazało się, że obawy ich były płonne. Boisko jest doskonałe. Podczas deszczu było przykryte słomianymi matami, a krótko przed meczem resztki wilgoci usunięto przez palenie słomy na nawierzchni boiska. Sposób prosty, lecz bardzo skuteczny.

Czekamy na wejście na boisko. W szatni cała nasza ambasada z ambasadorem Kirylukiem na czele.

Dziewczęta i chłopcy są lekko poddenerwowani. Zapewniają jednak, że dadzą z siebie wszystko, aby w dniu tak uroczystym godnie reprezentować barwy ukochanej Ojczyzny. Zespoły weszły na boisko. Stadion pięknie ozdobiony flagami, portretami Prezydenta Bieruta, Mao-Tse-Tunga i Stalina. Ponad 20 000 widzów entuzjastycznie nas wita. Zawody zaszczycił swą obecnością naczelny dowódca Chińskiej Armii gen. Czu-Teh.

Na boisku operatorzy filmowi i fotoreporterzy. Przemówienia. Za chwilę małe pionierki zasypują nas kwiatami. Ściskają nas i tulą się serdecznie. „Waszej Bierut" „Mao-Tse-Tung" brzmią wokół nas okrzyki.

Publiczność pekińska, z temperamentem właściwym, że się tak wyrażę, tylko dla południowców, manifestuje na cześć przyjaźni polsko-chińskiej

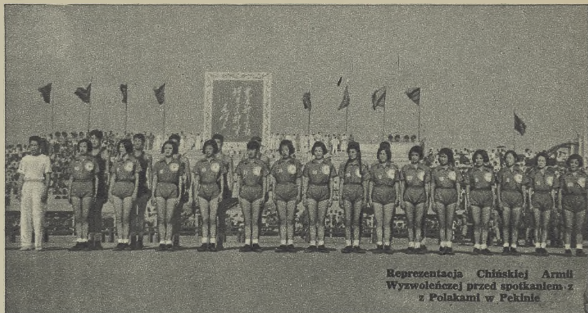


Tak zaczął się pierwszy mecz polskich koszykarzy w Chinach.

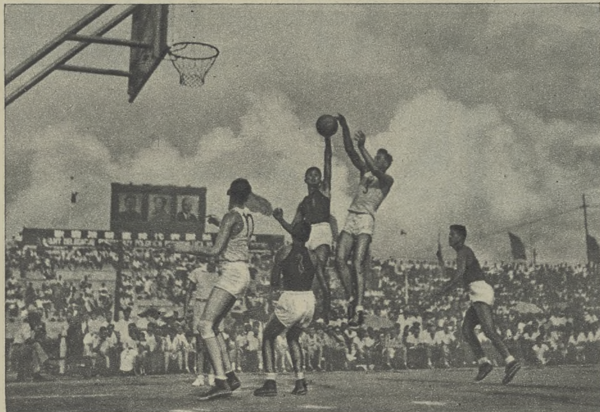
Spotkanie dziewcząt zaczęło się. Chinki są bardzo szybkie, zwrotne i skoczne. Wygląda na pozór, że są lepsze od naszych. Lecz tylko na pozór. Dziewczęta nasze grają jeden ze swych lepszych meczów.

Jeden za drugim suną szybkie ataki na chiński kosz. Wystarczy powiedzieć, że w pierwszych 11 minutach strzelają z pewnością prawie stuprocentową. Wynik 24:0.

Chinki speszone swym pierwszym międzynarodowym występem bronią się rozpaczliwie. Walczą bardzo ambitnie. Podziwiam ich chęć walki. Bardzo ciekawą rzecz zauważyłem podczas dokonywania zmian zawodniczek. Otóż zawodniczka opuszczająca boisko podaje rękę zmieniającej ją zawodniczce i ściska serdecznie jej dłoń, jakgdyby zachęcając do jeszcze lepszej gry. Zastanawiam się, czy z wychowawczego punktu widzenia nie należałoby tego wprowadzić w naszych zespołach. Niektóre zawodniczki z naszej kadry muszą się pod tym względem jeszcze wiele uczyć. Wiem, że są takie, które niechętnie wychodzą na boisko do gry w drugiej piątce. Czują się tym bardzo dotknięte i nawet obrażone. Tak, niestety, nasza żeńska drużyna nie jest jeszcze kolektywem w pełnym tego słowa znaczeniu.



Reprezentacja Chińskiej Armii Wyzwoleńczej przed spotkaniem z z Polakami w Pekinie



Kamiński walczy o piłkę ze studentem Pekińskiego Instytutu. Za chwilę spadnie ulewny deszcz i przerwie spotkanie.

Po przerwie zaczyna padać deszcz. Drużyna nasza posiada w dalszym ciągu lekką przewagę, lecz Chinki pięknymi rzutami z dystansu i półdystansu poprawiają wynik. Maleńka, szybka i zwinna jak kot Czu Tin-jun — swymi groźnymi przebojami stwarza kłopoty naszej defensywie.

Deszcz przybiera na sile. Wkrótce nawierzchnia boiska staje się zupełnie śliska, uniemożliwiając normalną grę. Końcowy wynik 51:31.

Publiczność nie opuszcza stadionu. Zaczynają chłopcy. Niestety. Deszcz przemienia się w ulewę. W 7 minucie gry przy stanie 10:14 dla Pekińskiego Instytutu Wych. Fizycznego sędziowie przerywają mecz. Wracamy do domu przez zalane wodą ulice Pekinu.



Pionierki pekińskie serdecznie witają polskich sportowców. Od lewej trenerzy: Rudelski i Grzechowiak.

23 lipca

Do południa deszcz. Ulewa. Nie możemy zwiedzać miasta. Może po południu pogoda będzie korzystniejsza. Niestety. Deszcz nie ustaje. Nasze ogródki zalane. Mimo deszczu jest bardzo ciepło.

Po południu jedziemy do Pekińskiego Instytutu, gdzie chłopcy rozegrają spotkanie, które wczoraj zostało przerwane. Instytut położony daleko za miastem. Po blisko godzinnej jeździe jesteśmy na terenach Instytutu. Rozległy przepiękny park. Wszystkie budynki bajecznie kolorowe. Nawet rzęsiście padający deszcz nie może zaćmić uroku tych domków.

Mecz odbędzie się przy drzwiach zamkniętych, t. zn. bez udziału oficjalnej publiczności. Na sali znajduje się około 500 miejsc, które są szczelnie zapełnione studentami Instytutu.

Początek gry. Suną ataki Chińczyków na nasz kosz. Bambusowy parkiet potęguje skoczność i zwrotność pekińczyków. Ich dribling jest wprost wspaniały. Po 6 minutach gry 14:6 dla gospodarzy. W dalszym ciągu bronimy się. Znamy Chińczyków nie od dzisiaj. Wiemy, że najtrudniej jest przetrzymać ich pierwszy impet i że w miarę upływającego czasu bojowość ich traci na sile. Muszę dodać, że Chińczycy kryją „każdy swego" i to bardzo agresywnie. Ich skoczność, szybkość i zwrotność jest wielkim atutem przy agresywnym kryciu.

Mietek Fęglerski doskonale kryje najgroźniejszego strzelca Instytutu, a Sterenga i Maciejewski raz po raz sieją zamieszanie pod koszem przeciwników. Pod koniec pierwszej połowy koszykarze nasi opanowują boisko. Szybki atak wychodzi przepisowo. Ze stanu 20:28 wyciągają na 28:29.

Połowa. Chińczycy prowadzą więc jednym punktem. W szatni nastrój doskonały. Chłopcy czują się bardzo dobrze.

Po przerwie z miejsca ujmujemy prowadzenie i osiągamy zdecydowaną przewagę nad zmęczonym przeciwnikiem.

Chińczycy są bezradni wobec doskonale przeprowadzonego przez naszych szybkiego ataku.

Końcowy wynik 69:53 przyjmuje akademicka publiczność długo nie milknącymi oklaskami.

Spotkanie stało naprawdę na bardzo dobrym poziomie i śmiem twierdzić, że był to od 1946 r. najlepszy mecz naszej drużyny reprezentacyjnej (z tych, które osobiście oglądałem). (d. c. n.)

FLORIAN GRZECHOWIAK



Najlepsi polscy żeglarze wzięli udział w sierpniu w mistrzostwach jachtów morskich w Gdyni. Ten egzamin sprawności prowadzenia jachtów na morzu najlepiej zdał Jan Kowalewski (na zdjęciu u góry), osiągając 2890 pkt. i zdobywając tytuł mistrza Polski. W konkurencji kobiet mistrzynią została Teresa Dziedzic — 3517 pkt.

CAF, fot. Celle Wl.

UCZMY SIĘ BUDOWAĆ SOCJALISTYCZNY SPORT

Z żaglem za pan brat od dziecka

LENINGRAD — miasto wodnego sportu. Dziesiątki sportowych baz i klubów jest rozmieszczonych wzdłuż brzegów Newy. A na półwyspie Piotrowskim, na wprost stadionu im. Kirowa, znajduje się największy jacht-klub w kraju — leningradzki sportowy ośrodek żeglarski związków zawodowych.

150 żeglarzy posiada ten jacht-klub. Tutaj można zobaczyć różne jachty i maleńkie jednosobowe i szybkobieżne wyścigowe najnowszej konstrukcji i wielkie o pojemności 15 — 20 ton, które mogą pomieścić ponad 20 ludzi.

Człowiek, który po raz pierwszy znajdzie się w jacht-klubie i zobaczy jego ludzi, zadziwi się różnorodnością ich zawodów i wieku.





Oto stoi w północnej przystani jacht „Dźwina". Na nim pływa doświadczony sportowiec, który od wielu lat poświęcił się żeglarstwu, technolog fabryki im. Stalina, Aleksander Tuz. Pod jego kierownictwem szkoli się młodzież, tokarze fabryki Swietłoj, Gleb, Abramow i inni. Zapoznają się oni ze sprzętem, uczą posługiwać żaglami.

Kapitanem jachtu „Wołchow" jest akademik Piotr Łukirskij. Latem cały czas wolny od naukowej pracy spędza na jachcie, biorąc udział w zawodach i dalekich rejsach.

Komandorem jednego z szybkobieżnych jachtów klasy „2—3" jest student optyczno-mechanicznego instytutu, mistrz sportu Jurij Koroljow. Poważną pracę z młodzieżą prowadzi kapitan jachtu „Surprise", instruktor, działacz społeczny, profesor Dementjew.



Wśród uprawiających sport żeglarski szczególnie dużo jest młodzieży. Komsomolec, student uniwersytetu, A. Łasariow, studentka hydrometeorologicznego instytutu, Simakowa i stolarz kolejowej parowozowni, Jansun, zdobyli zaszczytne tytuły mistrzów miasta.

W południowej lub jak ją nazywają robotniczej przystani, znajduje się flota żeglarsko-sportowej szkoły jacht-klubu dla dzieci. Pod kierownictwem doświadczonych trenerów 300 chłopców i dziewcząt uczy się sztuki żeglarskiej, studiuje nawigację, locję i sygnalizację, zdobywa morską praktykę. Mistrzowie sportu Pytkow i Nazarow, trener Dobrowolskij z dużym zamiłowaniem uczą młodzież samodzielnego kierowania jachtem, odbywając z nią interesujące wyprawy.

Silnie przywiązują się do morza ludzie uprawiający żeglarski sport. Wielu młodzieńców należących do jacht-klubu wybiera sobie później zawód związany z morzem.

Jednocześnie z nauką prowadzenia jachtu sportowcy biorą udział w licznych zawodach. Corocznie, w centrum miasta, między mostami Republikańskim i Kirowskim, odbywa się wielkie święto wioślarzy i żeglarzy — zawody o „wielki puchar Newy". Na zawody te przybywają setki tysięcy leningradczyków.

Aby młodzież przywykała do morza i zdobywała doświadczenie w kierowaniu jachtami, żeglarze wypływają na dalekie rejsy do zalewu Fińskiego, na Bałtyk, na jezioro Ładoga. W ostatnich latach leningradczycy dopływali do Wyborga, Tallina, Rygi, Kaliningradu, przebywali tysiące mil. Sztorm, wicher morski, mgła, brak wiatrów — wszystko to spotykało ich w drodze, ale żeglarze zawsze wychodzili zwycięsko z walki z żywiołem.

ODPOWIEDZI I INTERWENCJE

Ponieważ redakcja nasza otrzymuje wiele listów w sprawie nadesłania brakujących numerów „Sportowca", raz jeszcze wyjaśniamy, że we wszystkich sprawach związanych z uzupełnianiem kompletów „Sportowca" i kolportażem należy się zwracać do PPK „Ruch" Warszawa, Srebrna 12.

Kol. Sindalski w Gdańsku. Ponieważ mistrzostw świata w boksie nie organizuje się (jedynie mistrzostwa Europy), olimpijski turniej pięściarski może być śmiało uważany za turniej o mistrzostwo świata. Nie będzie więc błędem, gdy mistrza olimpijskiego w boksie nazwiemy mistrzem świata.

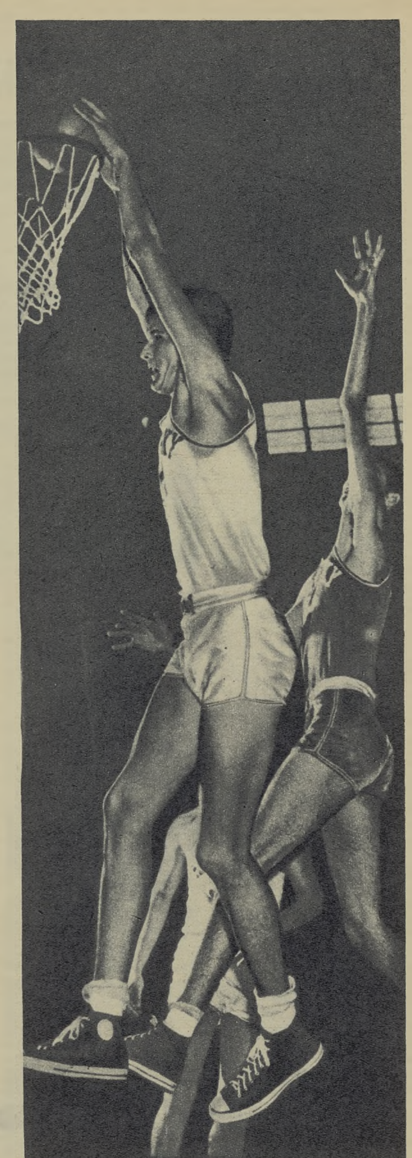
Na Igrzyskach Olimpijskich kobiety rzucają dyskiem 1 kg. i oszczepem 600-gramowym. Rodzaje kul są następujące: męskie — 7,250 kg, dla juniorów — 5 kg i dla kobiet — 4 kg. Często na treningach mężczyźni używają jeszcze kul 10 kg i nawet cięższych.

Następna Olimpiada (w 1956 r.) odbędzie się w Melbourne w Australii. Gdzie będzie Olimpiada w 1960 r. — jeszcze nie wiadomo.

Międzynarodowa Federacja Piłki Siatkowej (F. I. V. B.) czyni starania, aby na Olimpiadzie wprowadzono rozgrywki w siatkówce. Czy Międzynarodowy Komitet Olimpijski podejmie taką decyzję — nie wiadomo.

Kol. Steckiewicz w Zalesiu Dolnym. Niestety, w sezonie bieżącym w Warszawie nie odbędą się żadne zawody żużlowe. Jedyny, specjalny tor żużlowy Budowlanych przy ul. Wawelskiej znajduje się w przebudowie i obiekt ten wraz z trybunami będzie gotów dopiero w roku przyszłym. Otwarcie toru nastąpi 1 maja 1953 r.

Kol. Zbigniew Pykało z Pruszkowa. Zarówno pięściarstwo jak i wioślarstwo można uprawiać, będąc całkowicie zdrowym i posiadając dobre warunki fizyczne. Jeżeli stan Waszego zdrowia jest dobry (a powinien to stwierdzić lekarz w poradni sportowo-lekarskiej), nic nie stoi na przeszkodzie, abyście w przyszłości byli pełnowartościowym pięściarzem czy wioślarzem. Aby jednak można było uprawiać wyczynowo te sporty (na co obecnie jest jeszcze za wcześnie), musicie mieć organizm wszechstronnie do tego przygotowany. To da gimnastyka i lekkoatletyka. Uprawiać sport pięściarski możecie z powodzeniem w Pruszkowie, w zrzeszeniu, które ma tam sekcję bokserską. Na pewno nie będziecie mieli żadnych trudności z zapisem. Z wioślarstwem poczekajcie już do przyszłego sezonu.



„Normalny" koszykarz USA ...

J. PODSTOLSKI

JESZCZE RAZ PRZEJEDZIEMY SIĘ PO RAIDZIE

NAJPOWAŻNIEJSZA impreza terenowa w roku — Raid Tatrzański — została źle zorganizowana. Fakt groźny, bo, jak zgodnie twierdzą zawodnicy i to zwycięzcy (Kwiatkowski, Żymirski i in.), był to najcięższy z dotychczasowych wyścigów tatrzańskich, w jakich brali udział.

Bardzo ciężką trasę trzeba było zrobić szybko, czasy były zbyt wyśrubowane. Rezultat: na przeszło 150 maszyn ukończyło raid 33. Bez punktów karnych — nikt. Zbyt piękne żniwo.

Zazwyczaj czas przejazdu tak jest normowany, żeby zawodnik mógł nadrobić minuty konieczne do podciągnięcia obluzowań w maszynie, rzecz nieunikniona w biegu terenowym. Tym razem mowy o tym nie było. Maszyny bez opieki nie wytrzymały. Zawodnicy musieli gnać, by nie złapać punktów karnych, na poprawienie motoru nie starczyło czasu. Skutkiem tego maszyny „wysiadły". Trudności muszą mieć swoje granice. Nawet jeśli z raidu robi się wyścig trzydniowy.

Zbyt późno rozpoczęto start w drugim dniu, być może licząc na krótszy przejazd. Zawodnicy, którzy złapali defekty, kończyli wyścig po ciemku (w wyścigu dziennym wymontowuje się reflektory). Np. Kupczyk po dwóch defektach dętki zjeżdżał z Gubałówki po omacku.

Zupełnie nie było opieki lekarskiej na trasie. Doskonały Żurawiecki szukał po chałupach góralskich szmaty do opatrzenia rozciętej ręki. Wieczorem pierwszego dnia wprawdzie wszyscy zawodnicy zostali należycie opatrzeni, ale było to zasługą dr Spławińskiego, który z własnej inicjatywy zajął się zawodnikami jako lekarz, choć był tylko sędzią.

Źle określono również tolerancję czasów w wyścigu szybkości trzeciego dnia — 10 proc. to za wiele. W ten sposób np. wyjątkowo ambitny Żurawiecki, który ze zszytą ręką na trzydziestu km wyścigu był o trzy minuty lepszy od następnego, nie odrobił jednego punktu przewagi, jaką miał nad nim Bębenek.

Prawda, że było niewiele oficjalnych protestów zawodników, za to dużo było pretensji, niestety, uzasadnionych do organizatorów. Np.: sprawa Baczkowskiego. Jedyna maszyna z wózkiem, która ukończyła wyścig w drugim dniu, figurowała w ogólnej klasyfikacji



Leszczyński (Stal Gliwice) „przepływa" przez potok na Polanie Zgorzelskiej.



Triumfator Raidu — Bębenek (Włókniarz Kraków)



i dopiero po trzecim dniu Baczkowski dowiedział się, że jechał poza konkursem. Takich „omyłek" nie wolno popełniać, tak samo jak nie wolno nie dopilnować, by punkt kontrolny, w Poroninie koło mauzoleum Lenina nie był oświetlony (etap nocny).

W ogóle o zawodach da się powiedzieć, że znacznie więcej ambicji wykazali zawodnicy niż organizatorzy. Zwłaszcza płatne funkcje, jak np. sekretarza raidu, wymagają nie tylko umiejętności prowadzenia służbowego motoru, ale także i spełniania swoich obowiązków w czasie trwania zawodów bez względu na godzinę.

Nie czuło się sprężystej organizacji. Niedomagała b. poważnie punktualność. Godzina podstawiania samochodu prasowego była fikcją, sędziów nie zawsze było czym rozwieźć, nikt nie zamykał wyścigu, sędziowie przeważnie nie wiedzieli, czy wszyscy zawodnicy już przejechali. Konferencje prasowe albo odbywały się o zapowiedzianej godzinie, albo nie.

Nie zgadzamy się, żeby impreza tego wymiaru i takiej ważności była organizowana na „3". Musi być na „5". Inaczej nie ma sensu.

Wielki Puchar Tatr wygrali Kwiatkowski, Szarle, Żymirski — zespół tym razem Ogniwa. Nagroda ta przenosi się już do trzeciego klubu. Razem z wyżej wymienionymi zawodnikami. Bardzo ambitni, niektórzy doskonali technicznie, młodzi zawodnicy właściwie tej trójce zupełnie nie zagrażali. Świadczy to nie tylko, że zwycięzcy mieli lepiej przygotowane maszyny.

Nowoczek (CWKS) ugrzązł na gliniastym podjeździe.

(Specjalna obsługa fotograficzna — W. Werner).

Jedyna pociecha raidu — to znowu ujawnienie prawdziwych, zupełnie młodych jeźdźców z nerwem, jak Kanas (4 miejsce), Kuroczko (3).

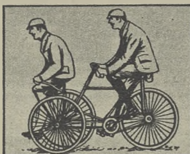
Publiczność zadziwiająco, nawet jak na taką imprezę, niesforna. Żadne argumenty do niej nie trafiały, ani prośby, ani groźby. Widzowie przeszkadzali przy starcie, przeszkadzali na mecie.

Woda zalała karburator i Malewski (Spójnia Warszawa) musi go teraz przedmuchać.



O SKUTECZNYM RAD SPOSOBIE W KOLARSTWIE...

Sięgnęliśmy do starej, z lamusa wyciągniętej książeczki. Jest to „Hygiena cyklisty" pióra dra O. Laurenta, prof. uniw. w Brukseli, wydana w Warszawie w 1900 r. w przekładzie dra F. Jak... Z tej to książeczki, którą oceniamy jako bardzo wartościową na przełomie XIX i XX wieku, cytujemy kilka dzisiaj często zabawnych sentencji.



„Na rowerze, podług słusznej uwagi Chibreta, człowiek staje się jakby czworonożnem, rzuconem pomiędzy dwa koła, które tworzą przedłużenie jego ciała i które on odpowiednimi kończynami porusza. W pozycji takiej jeździec znajduje pięć punktów oparcia: dwie stopy spoczywają na kole tylnem, dwie ręce na kierowniku i siedzenie — na siodełku. Jest to położenie ciała wybornie przystosowane do osiągnięcia maksimum pracy przy jak najmniejszym wysiłku. Jeżeli droga dobra i równa, a chyżość jazdy umiarkowana, to ciężar ciała rozkłada się zupełnie równomiernie pomiędzy 4-ma punktami podpory, jakiemi są dwie ręce, siedzenie i ta z kończyn dolnych, która uderza w danej chwili o koło tylne.

Trzy pierwsze z wymienionych punktów są prawie nieruchome ostatni przenosi się wciąż z jednej nogi na drugą, tak, że gdy jedna wznosi się do góry razem z pedałem, druga spada całym ciężarem na pedał przeciwny — i ów ciężar wystarcza do poruszania maszyny w zwykłych warunkach; ale w razie jazdy pod górę lub ze znaczną szybkością cyklista musi sobie dopomagać w inny sposób: a więc kurczy mięśnie prostujące udo, naciska ciężarem tułowia; gdy i to nie wystarcza, opiera ramiona na kierowniku, aby mocniej podeprzeć tułów i wytworzyć dokładniejsze przyleganie pomiędzy siedzeniem, a siodełkiem, wreszcie, w ostateczności podaje ciało na przód".

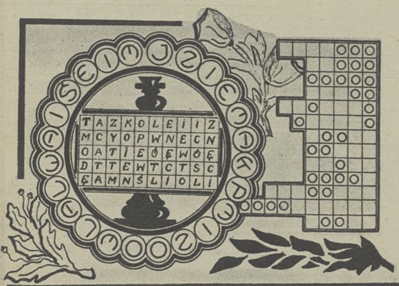
„Zdarza się... spotykać 70-letnich starców, którzy przypisują rowerowi pomyślny stan zdrowia i nie bez słuszności. Pewien amerykański lekarz, dr Tarrier, objeżdżał swych pacjentów na trycyklu, mając lat 80; inny 60-letni mężczyzna pozbył się przewlekłego kataru oskrzeli wskutek używania sportu, o którym mowa; major angielski Knox Holmes wyleczył się w ten sam sposób z przewlekłego reumatyzmu w 74-ym roku życia, a mają 84 lata, jeździł po 150 kilometrów dziennie".

„Cykliści zawodowi odznaczają się zwykle pięknością kształtów. Oto co pisze w tej kwestii Lucas - Championniere: „Najpiękniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek znałem, był to słynny cyklista Medinger. Wysokiego wzrostu i niezwykłą obdarzony siłą, jeździł od dwudziestego roku życia na bicyklu, na którym układ ciała bywa najbardziej wygięty. Obecnie jest już weteranem w swoim sporcie, a pomimo tylu lat jazdy i garbienia się, przedstawia wspaniały okaz męskiej urody, o niezmiernej giętkości ruchów, o chodzie wymarzonym dla każdego rzeźbiarza i znawcy anatomii. Też same cechy, chociaż w mniejszym stopniu, uderzały mnie u innych championów. Znam np. takich, którzy przy pierwszem ukazaniu się widowni mieli plecy pochyłe, prawie garbate, teraz zaś doszli do zupełnie prostej figury".

• ROZRYWKI UMYSŁOWE •

POD REDAKCJĄ JERZEGO BIELENI

KOMBINATKA
(IV nagroda konkursu)



Zadanie to składa się z trzech części.

1) Królówka.

Poczynając od lewego górnego rogu figury wewnątrz okręgu i posuwając się ruchem króla szachowego połączyć podane litery i odczytać pierwszą część rozwiązania.

2) Skakanka.

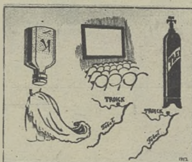
Poczynając od pola oznaczonego i przeskakując stale tę samą ilość liter w kierunku zegarowym odczytać drugą część rozwiązania.

3) Logogryf.

Do podanej figury wpisać poziomo 13 wyrazów o poniższym znaczeniu. Litery w polach oznaczonych czytane rzędami poziomymi dadzą trzecią część rozwiązania. Znaczenie wyrazów: 1) mistrzyni świata w gimnastyce, 2) trener bokserski, 3) dziedzina życia której służy sportowiec, 4) znany szachista radziecki, 5) akademicki mistrz świata w wioślarstwie, 6) czołowy kolarz polski, 7) znany lekkoatleta polski, 8) gra podwójna w tenisa, 9) rodzaj łodzi, 10) rodzaj rzutu wykonywanego w piłkarstwie, 11) zrzeszenie sportowe, 12) młody kolarz, wchodzący w skład kadry, 13) mistrz Polski w szachach

W. Barcikowski, Radom

REBUS „KASTY"



Rozwiązanie trzywyrazowe o literach początkowych: z, r, t (W jednym słowie autor użył tzw. „Licentia rebusica").

CIĄGÓWKA RYSUNKOWA



Rozpoczynając od pola oznaczonego podwójnym kółkiem wpisać jednym ciągiem (wzdłuż linii łamanej) znaczenia podanych rysunków. Litery w polach oznaczonych punktami — czytane w kierunku wpisywania wyrazów dadzą rozwiązanie. (Znaczenia rysunków wpisać należy wg kolejności).

Kaz. Nowak, Koziegłówki

Za rozwiązanie przynajmniej jednej z podanych zagadek Redakcja przeznacza do rozlosowania osiem książek. Rozwiązania zagadek nadsyłać należy pod adresem Redakcji „SPORTOWCA", Warszawa, Nowogrodzka 31 z dopiskiem na kopercie: „Rozrywki umysłowe". Termin nadsyłania odpowiedzi — dwutygodniowy (licząc od daty ukazania się numeru).

WYNIKI KONKURSU AUTORSKIEGO

NAGRODY KSIĄŻKOWE OTRZYMUJĄ:

Anna Wonko, Słupsk; „Kasta" Otwock; M. Korus, Ziębice; Kaz. Nowak Koziegłówki; Janusz Majsak, Skarżysko; Cz. Gonczewski, Koszalin; „Tantal" Siedlików, J. K. Massajda, Kielce; Jan Skonieczny, Łódź, Anna Boroń, Sopot; Zb. May, Zabrze, Antoni Molski, Jelonki, Kazimierz Nakoneczny, Szczecin; Edward Plociński, Poznań; Józef Kowalski, Starachowice; Zdzisław Piasecki, Gałkówek k. Łodzi; „Jolte", Kraków; M. Kuczyński Łomża; Lidia Skowrońska, Poznań.

Poza pracami nagrodzonymi wyróżniono prace: Stanisława Ginalskiego — Polanka, Andrzeja Gocha — Warszawa, M. Ratajczaka — Kościan, Antoniego Rogaczyka — Poznań, J. Stefańczyka — Pabianice i Klemensa Stróżyckiego — Leszno Pozn.

Prace nagrodzone i wyróżnione będą wykorzystane w naszym tygodniku. Nagrody prześlemy pocztą w ciągu września.

Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł, kwartalnie 12 zł, półrocznie 24 zł. Indywidualne zamówienia na prenumeratę przyjmują placówki PPK „Ruch", Urzędy Pocztowe oraz listonosze wiejscy i miejscy. Wszelkie reklamacje kolportażowe zgłaszać do PPK „Ruch", Wydział Prenumeraty Pocztowej — Warszawa, Srebrna 12, tel. 20-548.

REDAGUJE KOLEGIUM

3B-25237

WYDAWCA — RSW „Prasa". REDAKCJA — Warszawa, Nowogrodzka 31. Redaktor naczelny — tel. 852-64, sekret. red. — 704-82. Sekretarz redakcji przyjmuje codziennie (oprócz niedziel i poniedziałków) w godz. 11—12. ADMINISTRACJA — Warszawa, ul. Marszałkowska 8, tel. 807-11 i 837-20, wewn. 70. DRUK — Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa" Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5.

SPORTOWIEC

Dr W. Sidorowicz

POD OKIEM LEKARZA

BYLIŚMY świadkami wyścigu Dookoła Polski, długości ponad 2.000 km. Wyścig taki wymaga od kolarzy kolosalnego wysiłku, zarówno mięśni, które codziennie muszą rozwijać szybkość około 40 km/godz na odcinkach ok. 200 km, jak i wysiłku nerwowego, bo przecież tylko silna wola i hart ducha mogą pobudzić zmęczone mięśnie do pracy na ciężkiej nieraz trasie, podczas deszczu i wiatru. Pomijam tu całkowicie wysiłek serca i płuc, które też są nadzwyczaj obciążone pracą.

Nie ulega więc kwestii, że w takim wyścigu mogą brać udział zawodnicy jedynie dobrze i starannie przygotowani. Cóż jednak widzimy? Liczba kolarzy z etapu na etap przerażająco maleje. Wycofała się już cała drużyna AZS-u, ze znanych zawodników wycofał się Drążkowski, Wrzesiński, Liszkiewicz, Jarząbek i wielu, wielu innych, których nazwiska nawet nie przedostały się do prasy.

Powstaje niepokojące pytanie: co jest przyczyną tego masowego wycofywania się? Czyżby jakaś „epidemia" grasowała wśród kolarzy?

Nic podobnego. Jedynie zawodnicy byli niedostatecznie przygotowani do tego rodzaju wyścigu.

Niektóre zrzeszenia beztrosko zgłosiły zawodników „do kompletu", bez wniknięcia i przeanalizowania łącznie z trenerami i lekarzami sportowymi, czy zawodnik jest wytrenowany w sposób należyty, by mógł podołać wysiłkom z dobrym wynikiem sportowym i bez szkody dla zdrowia. Zapewne nie zrobiono tego, natomiast „odwalono robotę" w sposób najprostszy i bezduszny.



A przecież wiemy, my laicy, a cóż dopiero mówić o trenerach i innych specach, że kilkunastoetapowy wyścig kolarski, to nie podmiejska wycieczka towarzyska. To kolosalny wysiłek fizyczny dla najbardziej zdrowego zawodnika, to egzamin przygotowań, treningu, selekcji zawodników, to egzamin „stylu pracy" zawodnika, trenera, zrzeszenia. To nie rabunkowa gospodarka narybkiem kolarskim, to ma być praca twórcza — tworzenie mistrzów sportu.

Egzamin wypadł niedostatecznie, czasami wręcz skandalicznie i karygodnie. Zapytujemy dlaczego dopuszczono do wyścigu Jarząbka, który z powodu młodego wieku i słabego rozwoju fizycznego nie podołał wysiłkowi Wyścigu Pokoju w maju br., kończąc go jedynie dzięki ambicji na szarym końcu? Czy zawodnik ten przez 3 miesiące, dzielące Wyścig Pokoju od wyścigu Dookoła Polski, tak dalece zmężniał, że mógł z powodzeniem startować w podobnej imprezie — wyścigu Dookoła Polski? Kto jest za to odpowiedzialny? Co powie na to trener i kierownictwo sekcji? Przecież trener wie, że zawodnik za młody, zarżnięty jednym wyścigiem, w 3 miesiące później nie da rady przejechać 11 etapów bez szkody dla zdrowia. Nie istnieją żadne względy dla których by można w tych warunkach dopuścić go do tak poważnego startu.

Czy to jest „styl pracy"? Nie. To jest antypropaganda sportu, karygodne niedbalstwo i lekceważenie zdrowia zawodnika. Poza tym widok kolarza przeforsowanego, wlokącego się w ogonie wyścigu, nie robi dobrego wrażenia na nikim!

Dlaczego Wójcik i Królak wystartowali bez formy, łapiąc ją dopiero w drugiej połowie wyścigu? Dlaczego startowała drużyna AZS w wyścigu Dookoła Polski, bez należytego wytrenowania? Szukamy przyczyn naszych niepowodzeń olimpijskich. Odpowiedź mamy w wyścigu Dookoła Polski: brak planowego przygotowania, niewłaściwa selekcja zawodników, słowem zły styl pracy.

Czy nie lepiej byłoby, żeby Jarząbek po odpoczynku zaczął lekko trenować, z nastawieniem na start w przyszłorocznym Wyścigu Pokoju? Wyszło by mu to na pewno na zdrowie, mniej byłoby rozczarowań, mniej zawiedzionych nadziei.

Dla drużyny AZS lepiej było pieniądze zmarnowane na wyścig obrócić na zorganizowanie obozu kondycyjnego. Po takim przygotowaniu na pewno z większym powodzeniem można byłoby wziąć udział w zawodach roku przyszłego.

Nie umiemy pracować planowo w sporcie, nie szanujemy zdrowia zawodników, wyrzucamy niepotrzebnie pieniądze — nie pracujemy „na medal", a pragniemy zdobywać medale